

Maciej Karwowski

Z TAJNYCH AKT KOD-U



Maciej Karwowski

Z TAJNYCH
AKT KOD-U

© Copyright by Maciej Karwowski & e-bookowo
Projekt okładki: e-bookowo
ISBN 978-83-63080-95-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2012

Prolog

– Jest kwadrans po jedenastej, piąty lipca roku osiemnastego drugiego. Mariola Chruścik, witam państwa bardzo serdecznie i zapraszam na kolejną audycję z cyklu „Blżej świata”. Za oknami piękny, poniedziałkowy poranek, z bezchmurnego nieba leją się gorące promienie letniego słońca. Trwają wakacje, więc dzisiejszej audycji bez wątpienia słucha także młodzież. W naszym programie przedstawiamy ludzi z całego świata, którzy opowiadają nam o swoich ojczystych krajach. Większość obywateli naszego kraju zdaje sobie sprawę z tego, iż na Podlasiu znajduje się niewielka enklawa. Żyje w niej społeczność, o której nie wiemy zbyt wiele. Społeczność zamknięta, do której większość z nas nie ma dostępu. Społeczność twardo trzymająca się swoich odwiecznych zasad i tradycji. Społeczność monarchistyczna, która zdecydowanie opiera się wpływom jakichkolwiek innych krajów świata, w tym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Społeczność, o której nie wiemy zbyt wiele, izolująca się od reszty świata, zdająca się nie zdawać sobie sprawy z tego, że jest jego częścią. Dziś chciałabym państwu przybliżyć sylwetkę tych ludzi, a właściwie... kotów. Tak, drodzy słuchacze, dziś porozmawiamy z przedstawicielem rodziny *Felidae Aiunt*. Jest ze mną w studiu znany na całym świecie podróżnik,

wybitny archeolog, kartograf i finansista, pan Cattac da Kotcity. Witam pana bardzo serdecznie!

– Witam, pani redaktor, witam też szanownych słuchaczy.

– Nie jest to pana pierwsza wizyta w...

– ... w tak zwanych „mediach ludowych”? Nie. Ostatnio gościłem w jednym programie telewizyjnym w Moskwie.

– I jak wrażenia?

– Całkiem przyjemnie, dopóki wąsaty redaktorek z łysym łbem nie zaczął chrzącić patetycznych peanów do towarzysza Józefa Wissarionowicza...

– Eee... cóż... Czy mógłby pan jakoś... opisać swój wygląd? Ja widzę pana na żywo, ale nasi słuchacze... no, nie do końca.

– Nie ma problemu. Od czego by tu zacząć... Mam metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, a więc dosyć dużo, jak na przedstawiciela mojej rasy, trzeba państwu bowiem wiedzieć, iż rośniemy średnio od metra sześćdziesięciu, samice, do osiemdziesięciu pięciu, samce, przy czym ta górna granica jest osiągnięta niezmiernie rzadko. Niekiedy zdarzają się przypadki nawet wyższe, do dwóch metrów.

– To zapewne oznaka niezwyklej pomyślności?

– Fakt... choć nie chodzi o wzrost.

– A o co?

– O ogon. Rodzimy się bez ogonów. Skutek mutacji. Jeśli jednak zdarzy się osobnik z ogonem, do tego długim, to pozycję życiową ma... w zasadzie zaklepaną. Wracając do tematu...

Zważywszy na fakt, iż jestem karakalem, posiadam jasnobrażową sierść oraz eleganckie, czarne pędzelki na czubkach spiczastych uszu. Do tego dochodzą cudne, długie, białe wąsy oraz wielkie, zielone ślepia, jakie w tej chwili wpatrują się badawczo w panią redaktor. Zasadniczo rzecz ujmując, nasza zmutowana rodzina nie różni się zbyt wiele z wyglądu od kotów niezmutowanych, wyglądamy bowiem niemal tak samo. Różnimy się wzrostem, którym dorównujemy wam, ludziom. Mamy też, podobnie jak wy, po pięć palców na, nieco mniejszych od waszych, dłoniach, zwanych przez was „łapami”, dlatego określeń tych używamy zamiennie. Nie posiadamy paznokci, za to jesteśmy w stanie wysunąć pazury ukryte wewnątrz palców. Spody naszych dłoni i nóg pokryte są miękką poduszką, dzięki czemu jesteśmy w stanie poruszać się bezszelestnie. Boso, rzecz jasna... W tych moich nowiusieńkich adidasach z peweksu raczej bym się do nikogo nie podkradł... chyba, że bardzo bym tego chciał. Na co dzień odróżnia nas od was, ludzi, twarz i ręce. Przejęliśmy wasz styl ubierania, więc reszta ciała jest zakryta. Mutacje przyczyniły się do spadku efektywności naszej termozolacji... przynajmniej w przypadku większości kocich gatunków. Mam dwóch przyjaciół. Jeden z nich jest serwalem i, jak to serwal, ma krótką sierść, więc zimą ubiera się jak człowiek. Drugi z kolei jest rysiem i w tym samym czasie biega w slipach. Rysie są nielicznym wyjątkiem. Większość za nas ubiera się identycznie, jak wy, w zależności od pór roku... no, zimą może

nieco lżej. Mamy niezwykle wyczulone wszystkie zmysły, ze szczególnym nastawieniem na zmysł wzroku. Niech pani sobie wyobrazi, że widzi pani błysk. Nagły błysk. Taki, który panią na moment oślepia. Jest go sobie pani w stanie wyobrazić?

– Mniej więcej. Mnie oślepia...

– ... a nam wypala spojówki. Tak to działa. Tym niemniej nasze oczy nie są tak doskonałe, jak kotów niezmutowanych i do widzenia w ciemnościach potrzebujemy nieco więcej światła. Ot, zachcianka losu...

– Rozumiem... Poza tym, jak sam pan powiedział, z wyglądu nie różnicie się niczym od waszych... niezmutowanych braci. Macie identyczne twarze, korpusy... ale różnicie się jedną, zasadniczą rzeczą.

– Mózg i krtań. W wyniku mutacji wykształciły się u nas struny głosowe, zaś mózgi rozwinęły na tyle, że, choć mniejsze od waszych, przewyższają je pofałdowaniem, czyniąc z nas istoty inteligentne na równi z ludźmi.

– Właśnie! Wciąż wspomina pan o „mutacji”. Co to takiego?

– To jedna z hipotez... legend, dotyczących powstania naszej rodziny. I nie tylko naszej. Według naukowców, około tysiąca lat temu na Syberii żył pewien człowiek. Podobno był alchemikiem... albo magiem, trudno teraz powiedzieć. Zebrał on kilka rodzajów zwierząt. Były tam koty niemal wszystkich ras, a także, o dziwo, kaczki i pelikany, pewnie z jakiegoś przydrożnego targu. Przeprowadził eksperyment. Eksperyment, który wy-

przedzałby nawet obecne czasy. Eksperyment nowatorski. Eksperyment, który wymknął się spod kontroli. Mag kopnął w kalendarz, a zwierzęta rozbiegły się po bożym świecie. W wyniku owego eksperymentu doszło u nich do mutacji. Wykształciły się struny głosowe, rozwinęły mózgi. Osobniki te stały się istotami rozumnymi, takimi samymi, jak ludzie. Błąkały się, rozmnażały... Koty zjednoczyły się i dotarły aż do Europy, do Polski. Jeden z nich, Kotiel, postanowił, że tu się osiedlą. Tak powstała Kocia Dolina, a sam Kotiel został koronowany na króla.

– Właśnie, Kocia Dolina... Niewielka enklawa na terenie Rzeczypospolitej. Kiedy dokładnie do tego doszło?

– Około roku tysiąc trzysetnego. W Polsce nie było króla, więc nikt się nie troszczył o parę kilometrów kwadratowych płaskiego jak naleśnik terenu. Proklamowano niepodległe, izolacjonistyczne Królestwo Kociej Doliny. Wyznaczono granicę w kształcie okręgu, żeby nie było problemów z liczeniem powierzchni.

– Ile dokładnie ona wynosi?

– Moment, muszę odetchnąć... Macie może brandy?

– Nie całkiem... Zwykła woda nie wystarczy?

– Brandy by wystarczyło... chyba, że chce się mnie pani prędko pozbyć...

– Panie Jurku! Skoczcie do baru i przynieście butelkę brandy dla gościa!

– Dziękuję, pani redaktor. Pomyślmy... koło ma promień dziesięciu kilometrów... To da nam razem nieco ponad trzysta czternaście kilometrów kwadratowych.

– Niedużo. Co może nam pan powiedzieć o samym kraju?

– Cóż... W samym środku koła znajduje się Pałac Kotiela, zbudowany przez jednego z władców w połowie siedemnastego wieku. Ta piękna barokowa budowla, wzorowana na Pałacu w Wilanowie, stanowi od tamtego czasu stałe miejsce zamieszkania rodziny królewskiej. Bardziej na wschód znajduje się Kotcity, jedyne miasto w kraju. To stolica wszystkich kotów świata. Znajduje się tam dziewiętnastowieczny ratusz, pomnik Kotiela na rynku przez ratuszem... Park Kociaka wraz z wesołym miasteczkiem i wybudowanym niedawno amfiteatrem. Cały kompleks stanowi de facto centrum życia kulturalnego naszego państwa. Odbywają się tu koncerty, odgrywane są sztuki teatralne, przyjeżdżają kabarety... Ostatnio przyjechał duet Laskowik i Smoleń z Teya, są też plany zaproszenia grupy Queen. Freddie będzie wniebowzięty... Populacja miasta wynosi około siedmiu tysięcy mieszkańców, zaś kraju – niecałe dwanaście, w które to liczby wliczają się także mieszkający na terytorium Kociej Doliny przedstawiciele gatunku ludzkiego. Niestety, obserwujemy obecnie stale nasilające się zjawisko emigracji do Ameryki Północnej i krajów Europy Zachodniej.

– Ile lat żyjecie?

– Przeciętnie około trzydziestu. Nieliczni dożywają trzydziestu pięciu. Chlubny wyjątek od reguły stanowi mój stryj, profesor Serwacy Wąsacz, który urodził się pierwszego kwietnia trzydziestego ósmego roku. Po dziś dzień żyje i ma się znakomicie. Pierwszy kwietnia... Zawsze powtarzał, że ta jego długowieczność to wyjątkowy psikus od losu...

– Co jeszcze może nam pan powiedzieć o Kociej Dolinie? Jak wygląda tam sytuacja ludzi? Czy są dyskryminowani?

– No... teraz poczułem, jakby we mnie pani wpakowała nabój z dubeltówki mojego przyjaciela, Olafa... Proszę pani, jaka, kuźwa, dyskryminacja?! Ludzie bez problemu dostają robotę w prywatnych firmach, nie tylko jako robole od budowlanki! Ludzie pracują na posadach państwowych wszelkiego rodzaju... oprócz najbliższego otoczenia króla, rzecz jasna! Większość pracujących w Szpitalu Narodowym w Kocicy pielęgniarek to kobiety waszego gatunku, w ratuszu jest tuzin ludzkich urzędników, prokurator generalny jest człowiekiem, jeden oficer policji jest człowiekiem, barmanki w mojej ulubionej restauracji są kobietami, wielu spośród strażników w więzieniu Alca Kot Traz to ludzie, a na rynku głównym co sobotę roi się od waszych handlarzy, którzy zjeżdżają do nas, bo jesteśmy tym krajem z wolnym handlem, do którego mają najbliżej!

– No dobrze... Co ciekawego może turystom z Polski zaofiarować Kocia Dolina?

– Ciekawostki turystyczne, mówi pani... Wie pani, po czym poznać, że przekroczyło się granicę z naszym krajem?

– Jeśli mi pan powie...

– Drzewa. W czasie, kiedy wy po swojej stronie karczowaliście las, my ocaliliśmy go po naszej. Wzdłuż niemal całej granicy, wewnątrz enklawy, las nadal rośnie. Skacząc nad ogrodzeniem ląduje się w łysym polu, jakie rozpościera się dookoła granicy. W tych lasach mieszkają liczne zwierzęta. Żyjemy z nimi w zgodzie. Nie mają pretensji, a przynajmniej ich nie okazują, kiedy kuligi przejeżdżają przez ich terytorium. W sporym, sztucznym jeziorze ryby nie protestują, gdy je łowimy. Są u nas największe ryby, dlatego najlepsi wędkarze z całego świata zjeżdżają do nas na jednodniowe połowy.

– To krótko... O, jest już pan Jurek! Niech pan należy gościowi.

– Sesje wędkarskie są rzadkie i krótkie, liczba jednoczesnych uczestników jest ograniczona do dziesięciu osób, a maksymalna liczba ryb, jakie można wywieźć ze sobą, jest równa liczbie wędkujących. Ale ta oszczędność procentuje... Dziękuję panu... Tfu! Cholera! To nie brandy!

– Nie było, panie da Kotcity! Półki są puste. Zostało tylko to!

– Pokaż pan tę flaszkę... Błać, śliwowica! Nie dziw, że tak pali w gardle! Siedemdziesiąt dwa procent, w mordę... Wspominałem już o procentach? A, tak, rzeczywiście... Nawet niezła, wie pan? Tylko trochę... za mocna... Jak już mówiłem, ta osz-

czędność procentuje. Wędkarze opuszczają nasz kraj albo bez ryby, jeżeli nasi wodni przyjaciele uznają, że dranie nie są ich warcami, albo z rybą największą, jaką kiedykolwiek złowiono. Chciał, nie chciał, ale to właśnie u nas padają wszystkie rekordy w tej dziedzinie. Polej pan jeszcze...

– Jak wygląda u was sport?

– Całkiem niezłe... Dziękuję panu. Nie wiem, czy pani wie, ale istnieje coś takiego jak Kotstraklasa. To międzynarodowa liga piłkarska zrzeszająca kocie kluby z całego świata. Wiele z nich istnieje przy klubach ludzkich, na przykład CSKA Kot Moskwa czy Real Kitty Madryt. Kocią Dolinę reprezentuje Klub Kocia Dolina Ogon, który w zakończonym ostatnio sezonie zdobył mistrzostwo i zagra w Pucharze UEFA. Hyp! Jest to też jedyny koci klub mający zezwolenie na start w mistrzostwach świata i Europy, z racji tego, iż jest to swego rodzaju reprezentacja narodowa.

– Inne dyscypliny?

– Mamy niezłych piłkarzy ręcznych, skoczków narciarskich, a nasi szpadziści nie mają sobie równych na całym świecie. Co jest, do cholery, skończyła się?! Lej pan, jak pan widzisz, że szklanka już pusta! Hyp!

– A może przynieść kieliszek?

– Tylko złamasy piją z kieliszka, dziękuję... Hyp! Naprawdę niezła... Prawdziwi faceci piją ze szklanki, kubka, kufla albo jadą z gwinta! Zapamiętaj to sobie... hyp... chłopcze...

– Jak wygląda wasz ustrój, panie da Kotcity?

– A jak ma wyglądać? Jest królik... król, znaczy się... hyp! No i, tego... no, jest monarchia absolutna, nie ma parlamentu, tego cyrku, gdzie się wszyscy kłóca, gdzie nie ma jedności... hyp! Niby jest tam paru doradców, ale... jak tylko któryś narazi się królowi, łąduje w pierdłu... Jak za cara... Wie pani co? Powinniście zmienić ustrój...

– Panie da Kotcity...

– Hyp! No, powaga! Polej pan! Wy tylko... lud i lud... My też obchodzimy Święto Pracy. Ostatnio ratusz wypuścił na czoło pochodu największego imbecyla na państwowej posadzie, człowieka, żeby niósł sierp. Uznano, że to zajebicie wygląda, jak młot niesie sierp... Doprawdy... jesteście takim mądrym narodem, a zezwalacie na to, aby rządziła wami grupa durnych aparatczyków... A może to wy, ludzie, jesteście durni?

– Panie da Kotcity!

– Ten ustrój, komunizm... Najgorszy możliwy ustrój... hyp... w którym człowiek jest zniewolony przez zbrodniczą ideologię. Dlatego był Wietnam... Ideologia, promowana na siłę, wyniszcza. Dlatego był Katyń...

– Mówi pan o... TYM Katyniu? W którym Niemcy zabili...

– Jacy, kuźwa, Niemcy!? Co pani pieprzy?! Każdy mądry Polak wie, kto to zrobił! Każdy kot wie, kto to zrobił! Nie ma w Kociej Dolinie obywatela, który nie wiedziałby, kto to zrobił! Hyp! Dawaliśmy wam azyl po rozbiorach, dawaliśmy wam azyl

po pierwszym września. Wszyscy to wiedzą! Nawet towarzysze Józef i Ławrientij wiedzieli, kto to zrobił, sami wydali wyrok! Tak! To wasi przyjaciele ze wschodu... hyp... wasz „wielki brat” wymordował w Katyniu ponad czterdzieści lat temu dwadzieścia tysięcy polskich oficerów, a teraz stoicie murem za mordercami! Ludzie... Typowe dla was! Wie pani, dlaczego wasi ludzie zginęli?

– Panie Jurku, niech pan wezwie milicję!

– Wasi ludzie zginęli dlatego, że walczyli za waszą ojczyznę. Zginęli, abyście wy mogli żyć. Ale na to życie musicie... hyp! Musicie zasłużyć! Inaczej stajecie się zwierzętami! Mówicie, że my jesteśmy zwierzętami, a sami jesteście gorsi od nas. Te podziały na Wschód i Zachód... na komunizm, gdzie ludzie są zniewoleni przez innych ludzi i kapitalizm, gdzie jesteście niewolnikami własnych umysłów, dążąc do pieniędzy, władzy, wolności... hyp! Zatracacie się. Chcecie coś osiągnąć, ale zapominacie o tym, co jest naprawdę ważne. Jesteście niewolnikami. Niewolnikami systemu lub własnych chorych ambicji. Nie potraficie się zjednoczyć. Kłócie się... Na wyborach głosujecie na ludzi, którzy was okradają, ale głosujecie na nich ponownie, bo dajecie im drugą szansę... Albo nie macie wyborów, jak tu, w Polsce, ale nie narzekacie na władzę, choć ta regularnie robi was w konia, uzależnia od siebie. Wasza władza jest jak heroina. Hyp! Jesteście od niej uzależnieni i nie potraficie jej się przeciwstawić. Gdyby król Kociej Doliny wprowadził u nas ko-

munizm albo zaczął brać dla siebie pieniądze podatników, lud zatknąłby jego parszywy, złodziejski, kłamliwy, obłudny łeb na czubku wieży ratusza! Tak trzeba robić! Dwa lata temu coś was oświeciło. Powstała „Solidarność”. Ruszyliście w bój na słowa, ale władza was przechytrzyła. Poddaliście się. Tchórze! Cholerni tchórze! Jest was ponad trzydzieści milionów, gdybyście naprawdę chcieli, kawałki zwłok rządzących wami ludzi rozrzuilibyście od Helu po Rysy! Myślicie, że „wielki brat” sprowadziłby was do parteru? Wymordowałby trzydziestomilionowy naród?! Gówna prawda! Nawet ta bestia, to... hyp... „imperium zła” nie byłoby do tego zdolne, świadome możliwej odpowiedzi Zachodu. Możecie być wolni już teraz, ale musicie po tą wolność sięgnąć. Razem. Jako jeden naród. Zapomnijcie o podziałach. Zjednoczcie się. Razem możecie zrobić wszystko. Razem możecie zwyciężyć. Oni patrzą. Oficerowie Katynia patrzą na was z góry i widzą... widzą, czy zasługujecie na to, aby żyć. Czy zasługujecie na ich ofiarę, czy też poszła ona na marne...

– Co... co pan robi? Skąd ma pan broń?!

– Nigdzie nie wychodzę bez tych dwóch rewolwerów. To moi... towarzysze niedoli... hyp!

– Panie Jurku! Nie... niech pan tego nie robi... niech pan nawet nie próbuje! Cholera! Niech ktoś przyniesie latarkę! Zniszczył wszystkie lampy!

– Pani Mariolu... pani Mariolu! Co pani robi? Dlaczego pani wstaje? Dlaczego pani... hyp... wychodzi? Niech pani zostanie,

nie skończyłem jeszcze exposé... Proszę pani... mówiłem już, że doskonale widzimy w ciemnościach? Widzę, gdzie pani jest, te mdłe promienie wpadające tu przez szparę w drzwiach w zupełności mi wystarczą. Niech pani tu do mnie wróci, porozmawiajmy. O, tak już lepiej! Niech się pani nie boi, nie zabiję pani. Nie jestem okrutnikiem, w przeciwieństwie do waszego „wielkiego brata”. Ja po prostu mam swoje, niekiedy radykalne, metody. Niestety, kiedy inne zawodzą...

– Czego... pan... chce...?

– Niech pani nie płacze. Nic pani nie zrobię...

– Czego pan chce?

– Prawdy... i jej zwycięstwa. Hyp! Nienawidzę kłamstwa. Jest ohydne. Jeżeli drobne oszustwa służą dobru, czemu nie. Ja też służę dobru, tylko w trochę mniej... uczciwy sposób, jeśli można tak nazwać wchodzenie do studia Polskiego Radia z dwoma rewolwerami za pazuchą tak, że nikt ich nie wykrył. Pozwoli pani, że dorzucę parę kul do bębenków? Dziękuję. Hyp! Życie w zakłamanym społeczeństwie. Komunizm to jedna wielka ściema. Pokazujecie ludziom, jak to się wspaniale żyje, choć wielu z nich rozumie, że to pic na wodę, fotomontaż. Czasami dochodzę do wniosku, że wy, ludzie, nie umiecie inaczej. Że musicie żyć w kłamstwie, bo nie znacie innego życia. Nie znacie życia w prawdzie, w pokoju, bez wojen, bez zniewolenia umysłów, z wolną wolą. Rodzicie się do życia w wolności, ale nie potraficie w tym wytrwać. Gdy dorastacie... hyp... wszy-

scy stajecie się tacy sami. Kłamiecie, świadczycie fałszywie przeciw bliźnim. Jesteście tacy sami. Nie potraficie uczcić tych, którzy byli od was lepsi. Którzy zasłużyli na życie. Którzy oddali je za was. Wy macie ich ofiarę w dupie! Nie doceniacie tego, co macie. Nie doceniacie życia w pokoju, miłości bliźniego i prawdzie. Wszystkie światowe tragedie, wszystkie masakry ludności... wyprawy krzyżowe, inkwizycja, rzeź Pragi, krwawe bitwy „wiekiej wojny”, nazizm, komunizm, łagry, obozy koncentracyjne, a wreszcie Katyń... Wie pani, dlaczego wszystkie złe słowa, jakie znam, kojarzą mi się z ludźmi, dotyczą was? Dlaczego wszystkie najgorsze wydarzenia w dziejach świata działy się za waszą przyczyną? Dlaczego my nie przykładaliśmy do nich ręki? Dlaczego!?

– Pan niech mi to powie!

– Bo my, pani redaktor... Ech, niezła ta śliwowica, naprawdę niezła... My, pani redaktor... my nie jesteśmy wami...

21 LAT PÓŹNIEJ...

Rozdział I

Niewiedza jest błogosławieństwem

Był nów. Mdłe światło gwiazd przedzierało się z trudem przez gęste korony drzew. Z daleka słychać było dźwięk silników; asfaltowa szosa biegła tuż obok lasu mieszanego, gdzie obok niskich leszczyn rosły wysokie świerki. Tu i ówdzie wznosiły się małe pagórki, wyglądające na usypane nieznaną siłą przed wieloma laty. Centralne miejsce polany zajmowało wielkie koło pokryte setkami mniejszych i większych kamieni. Obok niego stało trzech mężczyzn ubranych na czarno. Jeden z nich był niskim wąsaczem z prześwitującą spod krótkich czarnych włosów łysiną, o mongoidalnych rysach twarzy. Wyjął z kieszeni niewielki telefon komórkowy i włączył go. Wystukał numer.

– Maleństwo... – mruknął siwiejący, wysoki okularnik. Pomarszczoną twarz pokrywały liczne blizny. – W Japonii wszyscy mają manię miniaturyzacji?

– Tylko Japończycy... – zachichotał trzeci z nich, otyły brunet o opadających na ramiona prostych włosach. Zerknął nerwowo na tarczę swojego casio.

Nie zważając na docinki towarzyszy, skośnooki wąsacz wszedł na zarośniętą trawą pagórek i uniósł do góry aparat, starając się złapać zasięg.

– Szlag by to... – jęknął. – W tej dziurze nie ma pola... Nie mógł wybrać lepszego miejsca na spotkanie?

– Z nim się nie dyskutuje – bąknął okularnik. – Powinieneś do tego przywyknąć.

– Miał wysłać najlepszego człowieka, żeby przekazał nam wieści. Człowieka, który miał się nie spóźnić – wąsacz spojrział na wyświetlacz telefonu. – Już dwadzieścia po drugiej. Niedługo wzejdzie słońce... a my tu czekamy, bo jakiś dureń nie zna słowa „punktualność”!

– Ja się nie spóźniam... – rozległ się skrzeczący, donośny głos.

Zza drzew wyłoniła się niewysoka postać, ubrana w przyduży, jasny płaszcz, który ciągnął się po ziemi oraz wysoki cylinder. Za jej plecami widać było fragment długiego kija bojowego, który rozmiarami zdawał się przewyższać właściciela. Postać trzymała w dłoni foliową torbę. Wyjęła z niej grubą szczapę drewna o grubszym trzonku owiniętym materiałem oraz zapalniczkę. Ogień pochodni oświetlił twarz przybysza, niemal podpalając długie, kocie wąsy. Skośne żółte oczy wpatrywały

się w stojących na polanie zaskoczonych mężczyzn. Wysokie uszy zdawały się wychwytywać dźwięk każdego ich oddechu. Zbliżył reklamówkę do pochodni. Poczł swąd palonego plastiku.

– Ja się nie spóźniam – powtórzył. – Dla mnie istnieje jeden czas... – uniół do góry lewą rękę, chuderławą, noszącą znamiona anoreksji ogarniającej całe jego ciało. Na nieowłosionej rudej skórze wisiał mały zegarek. Spojrzał na niego. – ... a mianowicie mój czas, według którego do momentu rozpoczęcia naszego spotkania pozostało dokładnie szesnaście sekund.

– Szatan miał wysłać jednego ze swoich najlepszych demonów... – odezwał się spokojnym głosem brunet. – Ale nie spodziewałem się, że ponownie przyśle arcydemoną, samego Mifistofelesa... swoją prawą rękę. Szczególnie po tym, jak ostatnio zawałiłeś sprawy...

– Schlebiasz mi, Brycie... – odparł kocur z ironicznym uśmiechem. – Niepotrzebnie... Mexicano! Na twoim miejscu szedłbym stamtąd! – zawołał wesoło do skośnookiego. – Chyba, że chcesz, aby tamten umrzyk... – skinął głową na pagórek. – ... powstał z grobu...

Mężczyzna odruchowo schował telefon i zeskoczył ze wzniesienia, pytając wystraszonym głosem:

– Co to za miejsce?

Przybysz uśmiechnął się. Złożywszy dłonie za plecami, podszedł do niego powoli, mówiąc:

– Niegdyś, przed wielu laty, kiedy mój gatunek prawdopodobnie jeszcze nie istniał, żył na tych ziemiach pogański lud. Jaćwingowie. Zostali wytępieni przez Polaków, Rusinów i Zakon Krzyżacki w trzynastym wieku. Co to za miejsce? – zbliżył się i dmuchnął wąsaczowi w twarz. – Cmentarz. Jesteśmy na prastarym cmentarzysku Jaćwingów. Te... koła wyłożone kamieniami, które widzicie między drzewami, te pagórki... to ich kurhany. Nie wiem, czy zdajesz już sobie z tego sprawę, Mexicano, ale właśnie zbeczczyłeś grób jednego z mężnych wojowników. Widzę, że nie jesteście uzbrojeni... a więc zgodnie z umową – odwrócił się od niego i mówił dalej. – Tym bardziej przestrzegam przed pochopnymi działaniami na terenie, gdzie królują zmarli. Chowano ich w pełnym rynsztunku bojowym. Nie chcemy chyba się o tym przekonać na własnej skórze... prawda?

Starzec przelknął ślinę na tyle głośno, iż wszyscy to usłyszeli.

– A dlaczegoż to ty masz broń, choć my jej nie mamy? – spytał, drapiąc się w podbródek, otyły brunet.

– Bo was jest trzech, a ja jestem jeden. Takie... ekspresywne zabezpieczenie – odparł wesoło kocur, trącając dłonią końcówkę niesionego na plecach kija.

– Zabezpieczenie...

– Na wypadek, gdybyście się na mnie wkurwili.

– Przejdźmy do rzeczy... – powiedział okularnik. – Jakie wieści przynosisz od szefa? Po co kazał nam się z tobą spotkać?

– A cóż jest naszym zadaniem? – spytał z zaciekawieniem przybysz. – Cóż, jeśli nie strach? Cóż, jeśli nie sianie zamętu? Świat stoi na zamęcie. Możemy się dostosować lub zniknąć w mrokach dziejów. Tu nie chodzi o pieniądze – prychnął. – Nie chodzi o to, żeby zarobić na sianiu zamętu. Chodzi o to, aby przez zamęt mieć władzę. Władza daje wszystko, co jest nam potrzebne. Tak zamyka się okrąg. Nie jest ważne, aby działać z sensem. Nie jest ważne, aby inni w naszych działaniach widzieli sens. Ważne, abyśmy sami go widzieli. Tym sensem... jest zamęt!

– Nie chrzań... – warknął brunet. – Przejdź do rzeczy, Mifistofilu!

Kocur kilkakrotnie mlasnął.

– Do rzeczy...? – westchnął w końcu. – Do rzeczy...

Zasłonił twarz prawą łapą, w lewej trzymając pochodnię. Obszedł kamienny kurhan dookoła, mówiąc:

– To największy kurhan na terenach Jaćwingów. Pewnie pochowali tu jakiegoś wielkiego wodza. Takiego przedpotopowego wujka Ilicza...

Stanął tuż przed nimi. Spojrzał na każdego z nich kątem oka, oświetlając ich twarze. Okularnik włożył do ust wyjęte z kieszeni długie cygaro. Zanim zdążył zapalić, kocur zbliżył pochodnię.

– Nie pal, Żabojadzie. To niezdrowe – powiedział, po czym podbił tłące się cygaro palcem, wydając z siebie ciche pyknięcie.

cie. Kiedy upadło na ziemię, rozdeptał je obcasem czarnego jak smoła pantofla.

– Kosztowało pięćdziesiąt euro – mruknął starzec.

– Za robotę, jaką mam dla ciebie, dostaniesz o wiele więcej. Panowie! – zwrócił się do całej trójki przybysz, odchodząc od niej, zmieniając ton na bardziej podniosły. Zakręcił lewą dłonią w powietrzu. – Musimy zrobić coś, co będzie „naj”. Najbardziej przerażające, najbardziej zuchwałe i tak dalej. Ty... – wskazał na okularnika. – Masz dokonać najbardziej zuchwałej kradzieży, jaką widział świat. Ty... – skinął na bruneta. – ... dokonasz najbardziej wstrząsającego zamachu, jaki widział świat. A ty... – zamyślił się, zatrzymując wzrok na skośnookim. Przechylił głowę, krzywiąc się niewyraźnie. – Ty zrób tak, żeby być jak najbardziej innowacyjnym i jak najwięcej przy tym zarobić. Połowa zysku do podziału między mnie i szefa.

– Innowacyjność... – bąknął wąsacz. – Na tym świecie ciężko być innowacyjnym. Niezwykle ciężko...

– Zdaję się na twoją wyobraźnię. Styl manga daje nieograniczone możliwości... – westchnął rozmarzonym głosem kocur.

– To będzie kosztować ekstra.

Kocur zamknął oczy i ponownie podszedł do mężczyzny. Szybkim ruchem ręki uderzył go w nos. Następnie energicznie kopnął starca w krocze i pchnął bruneta końcem pochodni na tyle szybko, aby ogień nie zdążył przenieść się na czarną marynarkę. Bryt stracił równowagę i upadł na plecy. Starzec jęczał z

bólu, kiedy otrzymywał kolejny cios, tym razem wymierzony w kark. Potknął się o kamień; wylądował twarzą na kurhanie. Kocur wyciągnął z umieszczonej na plecach cienkiej pochwy kij i, nie wypuszczając z lewej dłoni pochodni, zaostrzonym końcem broni ciął delikatnie w policzek skośnookiego, zostawiając na nim długą krwawą ranę. Zdumiony tą napaścią mężczyzna próbował uderzyć kota pięścią. Wziął zamach. Przybysz odskoczył, wystawiając na trafienie pochodnię i uderzając człowieka kijem w czoło. Oszołomiony przeciwnik zamknął oczy. Poczul straszliwe pieczenie, zdające się pochodzić z samych otchłan piekieł. Zawył. Kocur przyciskał jego dłoń do płonącego materiału brzegiem swojej broni. Kiedy puścił, człowiek uklęknął przed kurhanem. Otworzył oczy. Nie spuszczać oczu z płonącej dłoni, przyłożył ją do kamieni, które wydały mu się być kawałkami kojącego ból lodu. Brunet, widząc to, zdjął marynarkę i zaczął gasić nią dłoń kolegi. Kocur, pogwizdując wesoło, zręcznym ruchem dłoni schował kij do pochwy i rzucił pochodnię na wyłożony kamieniami kurhan, nieopodal leżącego na nich starca, który zasłaniał dłońmi poranioną twarz. Podszedł do skośnookiego i wyjął z jego kieszeni komórkę, mówiąc przy tym:

– Prosta zasada: ze mną i z nim się nie negocjuje... Ładny model. Samsung... Wolę nokie. Niezniszczalne... – westchnął. Wziął zamach i rzucił aparatem, rozbijając go o kamienie. – Wicie, co macie robić.

Stał przez moment, wpatrując się między drzewa. Usłyszał pohukiwanie sowy. Niebo zasłoniły chmury. Okolicę zaczęła wypełniać coraz gęstsza mgła. Usłyszał nieśmiałe pytanie:

– Co nas czeka, jeśli zawiedziemy?

Kocur uśmiechnął się i ruszył w stronę drzew. Stanął przy świerku, dotykając dłonią chropowatej kory oraz kłujących igieł. Złamana gałąź zwiślała, sięgając ziemi.

– Nie musicie wiedzieć wszystkiego. Tak samo, jak nie muszę wam dawać żadnych wskazówek – odpowiedział po czym zniknął we mgle. Słyszeli jeszcze jego demoniczny śmiech i dochodzący z oddali skrzek: – Niewiedza jest błogosławieństwem!

*

Niewielki przedsiónek wypełniał mrok. Zapalił wiszącą na drewnianej ścianie lampkę – jaskrawe żółte światło wypełniło pomieszczenie. Sięgnął po stojące obok małej szafki „desanty”. Usiadł na krześle z plastiku; spod niedawno położonej zielonej farby wyglądały plamy pierwotnej bieli. Powoli nakładał obuwie, pomagając sobie błyszczącą stalową łyżką; przekładał sznurowadła ostrożnymi, powolnymi ruchami. Oddychał przy tym ciężko, co chwila pokaszłując. Owinął szyję ręcznie robionym szarym szalikiem leżącym na szafce. Zdjął z wieszaka czarny płaszcz. Założył go na niebieski sweter, zasłaniając większą część spodni moro. Wyjął z szuflady portfel. Wyważył

go w dłoni i otworzył. Wyciągnął lśniąca plakietkę i przypiął ją do płaszcza na wysokości serca małą agrafką; portfel schował do kieszeni. Nałożył na głowę wiszący na wieszaku niski czarny melonik. Wziął pod pachę stojącą przy drzwiach białą teczkę. Upewnił się, że ma przy sobie ołówek, po czym przekręcił klucz w drewnianych drzwiach i wyszedł na zewnątrz.

Owionął go chłodny powiew wiatru. Kaszlnął, zasłaniając usta. Machnął łapą, jakby starał się odgonić od siebie chorobę. Zamknął drzwi i powoli zaczął schodzić po szarych betonowych schodkach. Widział, jak nikły dym opuszcza ceglany czerwony komin i unosi się ponad jego mały, drewniany domek, stojący przy żwirowej drodze prowadzącej do miasta. Na stromym dachu stał czarny bocian. Obserwował, jak właściciel budynku przechodzi na jego tyły. Znajdował się tam sporych rozmiarów ogród. Na grządkach rosły liczne kwiaty; były tam żółte i czerwone tulipany, piwonie, georginie, fioletowe maciejki, lwie paszcze oraz mnóstwo innych, których nazw nie był w stanie wymienić nawet sam właściciel. Bocian zleciał z dachu i wylądował tuż przed owiniętą szalikiem postacią. Duże zielone oczy spoglądały na ptaka. Ten patrzył, jak nieznajomy łapą sięga do kieszeni spodni. Zegarek ze wskazówkami otaczała gęsta sierść w kolorze ciemnogrnatowym. Kocur wyjął zawiniątko. Kiedy je otworzył, na ziemię wysypały się okruchy suchego chleba. Bocian zbliżył się, wydziobując pokarm spomiędzy źdźbeł i łodyg maleńkich stokrotek.

– Jedz na zdrowie, przyjacielu... – szepnął kocur.

Bocian podniósł głowę i spojrział na niego. Dostrzegł lśniącą plakietkę:

KOCIA ORGANIZACJA DETEKTYWISTYCZNA

agent Mruczysław Miau

szperacz

Kocur wziął do ręki teczkę i wyjął z niej kartkę formatu A4. Zaczął coś szkicować ołówkiem. W czasie, kiedy ptak spożywał okruchy, zbliżył się do nich niewielki kot. Ubrany był w sportową bluzę od Pумы w kolorze błękitnym oraz spodnie tej samej marki, w tym samym odcieniu. Sierść osobnika była jasnoszara, gdzieniegdzie widoczne były ciemnogrnatowe plamki.

– Wie już tato, gdzie postawimy tę altankę?

Agent odwrócił się. Spojrział zielonymi oczami na dwuletniego Puszka, swojego syna.

– Tak jakby, synku – odparł z ledwie widocznym uśmiechem. – Myślę, że można by zrobić ścieżkę między grządkami i postawić ją na środku, wśród kwiatów.

– Ale tak, żeby nie wlatywały do środka pszczoły... – mruknął młody kot. Był uczulony.

– To nie będzie proste... – westchnął jego ojciec. – Porozmawiam z profesorem, może coś na to zaradzi...

– On zaradzi na wszystko... Prawda, tatko? – malec podszedł do agenta i oparł się o niego.

– Chciałbym, żeby tak było... – wyszeptał, po czym schylił głowę. Patrzył przez moment na plan ogrodu. Zamierzał zakończyć jego urządzenie do sierpnia. Syn pomagał mu jak mógł. Byli sami. – Jeśli otrzymam wypłatę, zamówię altanę w przyszłym tygodniu. Stolarz powinien ją zrobić do końca lipca. Rozmawiałem z nim wczoraj. Mówił, że ma sporo zleceń.

– A jak nie dostaniesz wypłaty?

– Wtedy... – Mruczyśław Miau głośno wypuścił powietrze. – ... sami ją zmajstrujemy. Pustelnik... Pamiętasz, ten, co mieszka pod granicą na północy. Dobrze z nim żyję, powinien mi dość tanio sprzedać obrobione drewno gotowe do montażu. Jakoś to będzie...

– Tatko? Kiedy przyjedzie mama?

Zaniemówił. Spośród wszystkich pytań, jakie mógł mu zadać syn, tego spodziewał się najmniej.

„Diabli ją wiedzą...” – pomyślał, po czym powiedział: – Sam chciałbym wiedzieć, synku...

Ciszę rozdarł nagły pisk. Bocian poderwał się do lotu. Agent sięgnął łapą za pas i odpiął od niego małe radio. Nacisnął przycisk. Spojrzał na podświetlony małą zieloną diodą numer „2”.

– Słucham? – powiedział do mikrofonu.

– Może wpadniesz na kawę? – odezwał się silny, męski głos.

– Byle była mocna. Lepiej dla ciebie, żebyś miał jakieś zadowalające wieści...

Rozłączył się i bez słowa oddalił w kierunku ulicy. Puszek odprowadził go wzrokiem. Widział, jak otwiera skrzypiące drzwiczki z przegniłego drewna; wydawało mu się, że za moment się rozsypią.

Mruczysław skręcił w prawo. Spomiędzy gęstych chmur nieliczne promienie letniego słońca padały na żwirową drogę, na której przez większość czasu nie spotkał ani jednego kota. Mijał stojące samotnie domy, drewniane i ceglane, mniejsze i większe. Po drugiej, lewej stronie drogi rosły wysokie jesiony. Zewsząd dobiegały go wesołe śpiewy ptaków. Obok niego przefrunęła gromada wróbli. Przysiadła na najbliższym drzewie i obserwowała, jak ciemnogrnatowy kocur przechodzi przez niedawno odmalowaną drewnianą bramkę. Dziesięciometrową, wyłożoną małymi płaskimi kamieniami alejkę otaczał gęsty, niski żywopłot rosnący wzdłuż jeszcze niższego drewnianego płotku. Między sztachtetami i krzakami znajdowały się eleganckie paliki podtrzymujące wysokie krzewy karminowych róż. Agent podszedł do jasnobrązowych drzwi i zastukał energicznie mahoniową kołatką. Tuż nad nim, w chropowatej, beżowej ścianie otynkowanego dwupiętrowego domostwa, wbudowane było wysokie na całe piętro, szerokie, trzyczęściowe okno, zasłonięte od wewnątrz czerwoną kurtyną. Obok drzwi wisiała mosiężna tabliczka z wygrawerowanym numerem do-

mu: „221”. Drzwi otworzył rosły, dobrze umięśniony biały kocur. Miał na sobie jasnoniebieską koszulę mundurową wciągniętą w czarne spodnie. W przyczepionej do skórzanego białego pasa brązowej kaburze znajdował się srebrny pistolet. Na głowie nosił białą rogatywkę ze srebrnym godłem kraju – literą „K” na okrągłej tarczy – oraz oznaczeniem policyjnego stopnia – jedną krokiewką skierowaną czubkiem do góry. Podoficer podał gościowi prawą dłoń, mówiąc przy tym:

– Nie sądziłem, że już nie śpisz...

– Staram się nie marnować czasu na sen, Kocie–Płocie – odparł Mruczysław. – Nienawidzę marnotrawstwa...

Policjant zamknął za nim drzwi. Agent, nie zdejmując szalika, powiesił płaszcz wraz z melonikiem nad komodą, stojącą po lewej stronie od drzwi, a przy meblu postawił buty. Kot–Płot podał mu ciepłe, zamshowe kapcie i zaprowadził do kuchni, umiejscowionej po prawej. Na jej ścianach ułożone były naprzemiennie kwadratowe, białe i zielone, płytki, na podłodze zaś – tylko białe, prostokątne. Naprzeciwko wejścia, zasłoniętego mnóstwem zwisających z framugi staromodnych szarf i koralików, znajdował się rząd jasnobrązowych szafek, wiszących pod białym sufitem i stojących na podłodze; odstająca tu i ówdzie okleina imitowała drewno. Po lewej znajdowały się dwie pary drzwi. Miau usiadł na krześle przy wysokim drewnianym stole, stojącym pod oknem po prawej. Za sobą miał dużą srebrną lodówkę, obok której znajdowała się niewielka

wnęka w ścianie; stał tam kosz na śmieci z zielonego plastiku wyłożony starą gazetą.

Podoficer podał agentowi gliniany pomarańczowy kubek. Ten poczuł zapach mocnej, niedawno zalanej kawy z mlekiem. Objął kubek dłońmi, ogrzewając je. Policjant obserwował, jak ciemnogramatowy kocur ostrożnie wlewa w siebie płyn, starając się nie poparzyć gardła, i tak już czerwonego od walki z chorobą. Drżał jak osika.

– Dzięki... – szepnął.

– Nie ma za co – odparł Kot-Płot, siadając o drugiej stronie stołu, przy szafkach. – Coś niewyraźnie wyglądasz... Może chcesz rutinoscobin?

– Śmieję się, śmieję z cudzego nieszczęścia... – mruknął detektyw.

– Wybacz... Grypa?

– Zwykle przeziębienie. Nic takiego... Gdzie Stary?

– Stary? Włóczy się tu i tam... Mówił mi, że jedzie do Mińska w interesach, podobno tamtejsze służby mają mu przekazać jakieś ważne dokumenty...

– Dawno wyjechał?

– Wczoraj wieczorem. Zadzwoił do mnie i poprosił o podwiezienie do Moniek. Sam przekroczył granicę, uprzednio przekazawszy mi klucze do domu.

– I nocujesz tu... Pewnie w jego wyrku, co?

– Mruczku! – oburzył się oficer. – Mam do wyboru: nocleg na śmierdzącym posterunku w towarzystwie obszarpanych zatrzymanych... albo szczurów, jak dopisze szczęście...

– Z zasady dopisuje...

– ... albo tutaj. Wybór jest chyba oczywisty!

– Cóż... – Mruczysław kaszlnął. – ... teraz już wiem, czemu tak się cieszysz za każdym razem, kiedy Stary wyjeżdża... Wiesz, że w ostateczności zawsze zostaje ten twój złom? No, wiesz, ten, co to ledwo jeździ!

– Rany... Co wy macie do mojego poloneza!? To zabytek polskiej myśli motoryzacyjnej! Przydałoby się trochę szlifu tu i tam...

– Szlifu... i nowy silnik, korzystając z okazji...

– ... ale to MÓJ radiowóz, z którym w życiu się nie rozstanę! Tyle wspólnych akcji...

Mruczek wyjrzał przez nieduże okno z nowymi, plastikowymi ramami. Wcześniej nie zwrócił uwagi na stojącego po drugiej stronie drogi niebieskiego hatchbacka z „kogutem” na dachu, zardzewiałymi progami i wygiętą do góry w połowie, od strony pasażera, maską. Trącił palcem zawieszoną przed oknem zabawkę. Była to gliniana figurka małego aniołka z dzwoneczkiem w środku, pobrzękującym cicho przy dotknięciu. Obok wisiał także drugi i trzeci. Był tam też sznur kolorowych koralików różnych rozmiarów oraz mały pająk ze słomy. Ową wystawkę, zdobiącą krótką firankę w kwiaty, wieńczyła ususzona

róża. Wpatrywał się przez moment w stojącą na kamiennym parapecie zieloną skrzynkę z plastiku, w której rosły małe fiołki. Z zadumy nad przeszłością rozklekotanego radiowozu wyrwały go słowa jego właściciela, sierżanta Kota–Płota, szefa straży miejskiej w Kotcity:

– A śpię we własnym śpiworze w salonie! Gdyby Stary wrócił i zobaczył, że śpię gdzie indziej, niż na parterze, nogi by mi z dupy powyrywał. Zasadniczy problem z nim polega na tym, że nigdy nie mówi, kiedy wróci...

– Nam nie mówi. Nie wystarczy zadzwonić do jego gospodarza w Mińsku i grzecznie spytać: „Kiedy profesor Wąsacz opuszcza wasz kraj”?

– Można, co też ochoczo zrobiłem nie dalej, jak przed naszą krótką rozmową przez radio. Drugi problem polega na tym, że data opuszczenia Białorusi nie jest równoznaczna z datą powrotu do Kociej Doliny. Jeszcze się weźmie zatrzyma w Białymstoku, na mecz pójdzie, do kina, do teatru... Nigdy nie wiadomo „na pewno”, kiedy Stary wróci...

– Wiesz chociaż, dlaczego? Bo to Stary.

Funkcjonariusz zaśmiał się.

– Celna uwaga, przyjacielu, celna...

– Co u Arniego?

– Arnio, Arnio... – zamyślił się Kot–Płot. – Ach, ten Arnio! – uśmiechnął się. – Niedługo ma przyjechać Edyta Górniak. Mogą być niezłe jajca... – dodał drwiąco.

Spis treści:

Prolog.....	4
Rozdział I Niewiedza jest błogosławieństwem	18
Rozdział II Die Wolle	57
Rozdział III Trening czyni mistrza	112
Rozdział IV Samodzielna jednostka infiltracyjna.....	189
Rozdział V Świński duet.....	284
Rozdział VI Za kilka dolarów więcej.....	571
Rozdział VII Kac–morderca	625
Rozdział VIII Dzień dobroci dla zwierząt	721
Rozdział IX Piłka w grze.....	1005
Rozdział X Gdy opada mgła... ..	1097